

Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych



w mediach

Przegląd tygodniowy: 6 – 12 czerwca 2009 r.

LECH WAŁĘSA: W SUMIE PODOBA MI SIĘ POLSKA, CHOĆ...

Kurier Poranny, 6.06.2009

70 procent moich łez to jakaś choroba, a 30 procent - to rzeczywiście emocje - mówi były prezydent Lech Wałęsa.

Jacek Deptuła, Gazeta Pomorska: Panie prezydencie, stronę internetową Instytutu Lecha Wałęsy otwiera cytat z Marszałka Piłsudskiego: "Gdzie indziej wodza, który zwyciężył, spotykają honory i zaszczyty, bo on państwo wyratował. U nas inaczej - wódz ma iść w błoto i tylko gdy dostatecznie się błota napije, ma być godnym Polski". Czy 20 lat temu przypuszczal Pan, że te słowa mogą odnosić się również do Pana?

Lech Wałęsa: Wtedy nie myślałem o Piłsudskim, natomiast zależało mi na narodzie, który przez wieki był zdradzany, wykorzystywany i sprzedawany, przede wszystkim przez sąsiadów. Zastanawiałem się wtedy, jak szybko naród się oczyści, bo wszystko, co się dziś przydarza - z moją sytuacją włącznie - to są normalne objawy choroby zniewolonego, wykorzystywanego narodu, który wyrwał się z kajdan. Tak więc nic mnie tu nie zaskakuje. Sądziłem tylko, że szybciej zaczną działać mechanizmy wyjaśnień i oczyszczeń. A to, że będzie ciężko, było dla mnie oczywiste.

Nie przewidywał Pan jednak, że sztandar Solidarności nie tylko wyląduje w muzeum, ale w błocie, podobnie jak symbol milionowego ruchu - "nieznany mężczyzna z wąsem"?

- To też trzeba zrozumieć. Ktoś w paryskiej "Kulturze" dał taką definicję, że demokracja to nic innego jak wojna każdego z każdym, ale w żelaznych ramach prawa. Mamy więc do czynienia z wojną - żeby zająć pierwsze miejsce, żeby być lepszym od innych, choć nie ma się do tego ani zdolności, ani talentu. To jest normalne. Problem w tym, że można walczyć pomysłami, słusznymi ideami i mądrością albo głupotami typu agenci, kwity czy teczki. U nas tak wyszło, że Kaczyński i spółka zaczęli walczyć przeszłością, agenturą, bo nie potrafią walczyć czym innym. A jak się skomplikowała sytuacja ekonomiczna i polityczna, to spowodowało, że mądrością nie można dużo osiągnąć, więc poszła walka nie w tę stronę. I to trzeba zrozumieć, choć nie wolno się na to godzić.

Kto w III Rzeczpospolitej otworzył puszkę Pandory? Komuniści, premier Olszewski, bracia Kaczyńscy, małżeństwo Gwiazdów, Adam Michnik, Anna Walentynowicz?

- Obojętnie, kto otworzył, bo ona i tak jest już otwarta. Powtarzam panu - nasza historia była tak skomplikowana, że do tego musiało dojść. Byliśmy zdradzani, prowadzeni przez agentów i w związku z tym narosły ogromne pokłady nieufności, niewiary w ludzi, którzy zwyciężali, braku zaufania nawet do najwspanialszych wydarzeń. Tylko że szybciej i mądrzej trzeba było to wyjaśnić - tak, żeby sprawy nie ciągnęły się latami. Ja mam sprawę w sądzie od czterech lat i nie mogę niczego wyjaśnić. To mi się nie podoba, ale w jakiś sposób działa

oczyszczająco.

Jednak 20 lat wolności to chyba dostatecznie długo, by pozbyć się wzajemnych uprzedzeń, a nawet nienawiści. Tymczasem ona się nasila z roku na rok!

- Gdyby tylko sama Polska się wyrwała z komunizmu, gdyby nam się udało w '80 roku, w tamtym klimacie zgody i solidarności, to by łatwiej poszło. Ale potem był stan wojenny, później dołączyły do nas wszystkie zniewolone kraje i to spotęgowało negatywne zjawiska. W stanie wojennym społeczeństwo się podzieliło, zdradzało, bo był OPZZ, różne PRON-y i to wpłynęło, że jesteśmy tak zatwardziali i nienawistni. Gdyby nie stan wojenny, inaczej potoczyłyby się losy Polski.

Problem w tym, że stan wojenny był ponad ćwierć wieku temu, a w polskiej polityce coraz więcej partyjniactwa, prywaty, szlachetczyzny i metod poniżej pasa...

- To proste - jak nie ma sposobu na ciosy powyżej pasa, to się wali niżej. Ale nie jest to tylko problem klasy politycznej, lecz także zaplecza, mas. Naród źle wybiera, nie chodzi na wybory, nie chce być polityczny, nie chce do partii należeć. I to powoduje wiele wykrzywień. Gdyby masy posłuchały mnie i poparły system prezydencki lub wchodziły do partii politycznych - byłoby inaczej.

Prof. Karol Modzelewski w rozmowie z dziennikarzem powiedział, że w przededniu wydarzeń bydgoskich w 1981 roku powiedział mu Pan, iż będzie prezydentem Polski. Modzelewski był zdumiony: Rosjanie u granic, Polska u środka państw Układu Warszawskiego, a pan o prezydenturze. Już wówczas Pan to przewidywał?

- (Śmiech) Wtedy możliwości rozwiązań miałem wszystkie opukane i przemyślane, patrzyłem tylko, które będą zrealizowane. Miałem opracowane wizje fantastyczne i miałem inne, bardziej realistyczne - co z Polską, co z narodem, jak zareaguje Związek Radziecki? Analizowałem, jak to się układa i którą wersję realizować. Przywódca, który chce kierować milionami, musi to wiedzieć. Nie może się dać zaskoczyć, choć życie i tak zawsze zaskakuje. Ale powinien wiedzieć, co robić na głównych kierunkach, i ja się starałem być dobrym przywódcą.

To dlatego domagał się Pan silnej władzy prezydenckiej? Żałuje Pan, że się nie udało?

- Nie, nie! To trzeba wyjaśnić: ja naprawdę nie chciałem być prezydentem. Pan się uśmiecha i tak jak wielu innych ludzi, w to nie wierzy. Tylko że ja zaraz na początku się zorientowałem, że mamy wszystko przegrane, Okrągły Stół był przegrany...

Pan żartuje, Panie prezydencie - przegrany?!

- Jasne! Przecież Jaruzelski miał mieć sześciolatnią kadencję, Mazowiecki - a tylko na niego komuniści się zgadzali - to bardzo porządny człowiek, ale legalista. On by nigdy nie złamał porozumień Okrągłego Stołu. Pan sobie wyobrazi: sześć lat Jaruzelskiego, Mazowiecki robi trudne i brudne reformy - i przegrywa z Tymińskim już po roku. Panie, a co by było za sześć lat?! Przegralibyśmy wszystko, ludzie by nas wyrzucili sami, bo te reformy ktoś musiał zrobić. Więc Jaruzelski ma następnych pięć lat i... i nas nie ma! Wtedy ja próbuję to zmienić, a nikt nie chce mnie poprzeć. No i na koniec jeszcze Mazowiecki ustawia się przeciwko mnie.

Przecież ja nie mogłem głośno powiedzieć, że chcę dobić komunizm, ja mogłem tylko im zabrać najwyżej ministerstwa

obrony i spraw wewnętrznych. I dalej ściana. A wszyscy mówią, że ja miałem tylko ambicje i chcę być prezydentem. Panie, to była najgorsza rzecz, jaką mogłem zrobić! Dzisiaj boję się myśleć, że gdybym tego nie zrobił przeciw wszystkim kolegom, gdybym nie zrobił wojny na górze w taki sposób, panie, co by dzisiaj było? Niech pan zapyta Jaruzelskiego, czy z jego kompetencjami prezydenckimi on by wyszedł z Układu Warszawskiego?!

Fantazja. A przecież to było tylko w jego kompetencjach. Dalej: Mazowiecki - legalista i formalista. Dopiero w tym kontekście można zrozumieć, dlaczego zostałem prezydentem. Proszę też pamiętać, że na dodatek zostałem zdradzony przez Mazowieckiego, Geremka i właściwie wszystkich. I tak to wyszło, a ja musiałem sobie z tym poradzić, doprowadzić do wyprowadzenia wojsk rosyjskich i innych rozwiązań.

Dlaczego Pańscy oponenci nie dostrzegają bodaj największego sukcesu III RP - wyprowadzenia Rosjan z Polski? Prócz Piłsudskiego tylko Panu udało się to w ostatnich 200 latach.

- To proste: za wszystko zapłaciliśmy za małą cenę. Jak jest mała cena, to się ją lekceważy. Gdyby połała się krew, gdyby były barykady, zwycięstwo zapłacone krwią i zgliszczami - to by się u nas naprawdę doceniało. Taki nasz charakter. Więc lekceważy się piękne zwycięstwo pod moim przewodnictwem. Tak piękne, że aż podejrzane. Oni do dziś nie mogą uwierzyć, że tak wielkie zwycięstwo zostało osiągnięte bez tragedii i ofiar.

Jak udało się Panu przekonać Borysa Jelcyna?

- Rozmowy były trudne, ale mam na to proste wytłumaczenie. Jelcyń był trochę bezradny wobec potężnej fali wolności w Europie i miał jedną szczęśliwą dla mnie cechę. Otóż kiedy mu coś udowodniono na argumentach - on to przyjmował. Przecież mógł grać inaczej, mógł powiedzieć: W porządku, ma pan rację, ale muszę zapytać doradców, ministrów. A on nie. Kiedy mu tak udowodniłem dokładnie, że nie mogą być dłużej w Polsce, to on to przyjął. Dlatego tak dużo z nim osiągnąłem.

Potem spaprąłem trochę, bo trzeba było pociągnąć dalej, ale nie miałem czasu. Myślę, że mogłem ułożyć stosunki z Rosją lepiej, tylko nie zdążyłem. Bo wiele rzeczy odkładałem na drugą kadencję. I, kurczę, nie udało się!

Więc co uważa Pan za swój największy sukces?

- Widzi pan, ja jako jedyny nie mogę wybierać, wszyscy inni mogą jakieś punkty sobie wpisać. Ja nie mogę, bo stałem na czele tego łańcucha zdarzeń. Ja ten łańcuch konstruowałem, więc nie mogę dziś wyjmować jednego ogniwa i powiedzieć, że to mój sukces. Jak wyjmę część, to reszta też polecą. Nawet te dyskusje, spotkania, Okrągły Stół, dwudziestolecie wolności - nie mogę brać w tym udziału, dlatego że jako jedyny byłem - mówiąc wprost - nieuczciwy...

Oszukiwał Pan nie tylko komunistów?

- Jako jedyny musiałem iść na kompromisy, bo ja to wszystko firmowałem, planowałem swoją robotę na dzisiaj i lata naprzód, w zależności od czasu i ludzi, z którymi rozmawiałem. To były etapy - tu coś się podpisywało, jak choćby porozumienie z tym Malinowskim z ZSL i Józwiakiem z SD. Ale podpisując, już myślałem o następnym ruchu. Przyznaję - to było nieuczciwe, niewychowawcze, nie fair...

Ale mówi Pan, że jako przywódca miał dalekosiężną wizję.

- Zgoda, ale po co wizja masom? Niepotrzebna jest, psuje, komplikuje cały plan, a ludzie tego i tak nie rozumieją. Tak jak i tego, że jako przewodniczący ruchu musiałem z bezpieczeństwem rozmawiać, manipulować. Ja byłem przywódcą, musiałem kryć, mieć swój plan, a dziś wielu mówi, "cholera, patrzcie - rozmawiał z esbekami".

A że wcześniej coś tam podpisał? Przecież to była gra, kto kogo przechytrzy, może i ten esbek napisał coś później, gdzieś tam człowiek się wyłożył, a on to wyczuł i dopisał. Gdybym był zwykłym związkowcem, to wiadomo, że nie warto było z nimi

rozmawiać, łatwiej by było podczas przesłuchań - wszystko to prawda, ale ja czułem się pierwszy. Niestety, inni też czuli się pierwsi, a naprawdę nie byli, dlatego oni nie rozumieją tego, który naprawdę przewodził. Najedzony głodnego nigdy nie rozumie.

Dlaczego przez 20 lat nie udało się żadnej władzy puścić - jak Pan to nazwał - w skarpetkach oszustów i przestępców w białych kołnierzykach? To kwestia złego prawa, "układu", nieudolności wymiaru sprawiedliwości?

- Nie! Pan sobie przelicz: trzy miliony było "czerwonych", plus jeszcze rodziny - razem 12 milionów ludzi zaangażowanych w jakiś sposób w komunizm. I teraz po naszej stronie nie ma żadnego programu, żadnych kadr, doświadczeń, a tam sami zawodowcy. Wygraliśmy fuksem, przypadkiem, ale te 12 milionów nie zmieniło się z poniedziałku na wtorek! Czy pan wie, że ja jeszcze pół roku, będąc prezydentem, byłem podsłuchiwany? Oni byli tak silni, przez pół wieku stworzyli kastę tak mocną i zorganizowaną, że nie do pomyślenia było wiele rzeczy. Wszystko trzeba było rozbroić ostrożnie jak saper, zdecydowanie, ale chytrze, żeby się nam nie stało kuku. Na każdym poligonie, wszędzie, gdzie można było postawić trybunę, były podłożone ładunki wybuchowe. Tylko wystarczyło pstryknąć i całego rządu i naszej pracy by nie było.

Oczywiście nikt dziś już tego nie pamięta, ale ja o tym wszystkim wiedziałem. I dlatego nic więcej, nic szybciej i nic mądrzej wtedy nie dało się zrobić. Bo gdyby się dało, to ja bym to zrobił. Dziś można trochę więcej, ale przecież też nie tak do końca.

W jednej z gazet, na pierwszej stronie, zobaczyłem Pańskie wielkie zdjęcie, kiedy ociera Pan łzę, i tytuł: "Triumf i łza Lecha Wałęsy". W minionym dwudziestolecu więcej było triumfu czy łez?

- (Śmiech) Przy panu nie płaczę, ale mam chore oczy. 70 procent tych łez mam teraz z jakiejś niezdiagnozowanej choroby, a 30 procent to rzeczywiście emocje. Więcej triumfu czy łez? Gdyby ktoś 20 lat temu powiedział, że dożyję takich czasów - nawet tych - nie uwierzyłbym za żadne skarby. A kiedy jest, jak jest - i z dzisiejszą wiedzą - kurczę, myślę, ile popsuliśmy, ile można było zrobić lepiej. Ale łatwo mówić z dzisiejszego punktu widzenia, o czym nie pamiętają Kaczyńscy i spółka.

W sumie podoba mi się Polska, choć nie jestem zadowolony. Podoba mi się nawet z tym niezadowolonymi ludźmi i IPN-ami. Mamy wolny kraj, który od nas zależy i od naszej mądrości.

Więc jestem za, a nawet przeciw.

Dziękuję za rozmowę.

W PONIEDZIAŁEK ZWIĄZKOWCY I PRACODAWCY BĘDĄ ROZMAWIAĆ

Portal Biznesowy, pb.pl, 7.06.2009

Komisja Trójstronna (KT) zajmie się w poniedziałek pakietem antykryzysowym. Mimo że rząd przyjął już projekt dotyczący zmian w prawie pracy i podatkach, związkowcy i pracodawcy chcą jeszcze rozmawiać m.in. o umowach na czas określony i wzroście wynagrodzeń.

Zdaniem przewodniczącego OPZZ Jana Guza, przyjęty we wtorek przez rząd projekt ustawy o pomocy przedsiębiorcom w utrzymaniu miejsc pracy "nie jest całkiem zgodny z ustaleniami wynegocjowanymi w Komisji Trójstronnej".

Jak poinformował PAP, OPZZ zamierza zaproponować na posiedzeniu KT, aby umowy na czas określony mogły być zawierane na maksymalnie dwa lata, nie tylko przez okres obowiązywania pakietu antykryzysowego. Związkowcy chcą, aby

przepis ten wszedł do prawa na stałe. Tylko to pozwoli - ich zdaniem - uniknąć sytuacji, w których pracownicy mają umowy na 10 czy 20 lat, a mimo to są to umowy na czas określony.

Jeżeli takie umowy zostały zawarte kilka lat czy kilka miesięcy temu, obostrzenia przewidziane w pakiecie nie będą miały do nich zastosowania" - powiedziała PAP wiceprzewodnicząca OPZZ Wiesława Taranowska.

Związkowcy mają też zastrzeżenia do niektórych definicji zawartych w projekcie przyjętej przez rząd ustawy. M.in. chodzi o zapis dotyczący możliwości obniżenia pracownikowi przez pracodawcę wymiaru czasu pracy na okres sześć miesięcy. Jak podkreślają, nie wiadomo czy chodzi o sześć miesięcy w ciągu roku, w czasie obowiązywania pakietu, czy w czasie całej kariery zawodowej pracownika w danej firmie. "Wymaga to doprecyzowania" - zaznacza Guz.

Również pracodawcy mają zastrzeżenia do niektórych zapisów projektu.

Zdaniem eksperta PKPP Lewiatan Lecha Piławskiego, wątpliwości budzi warunek o obniżeniu wartości sprzedaży przy jednoczesnej konieczności utrzymania zatrudnienia przez co najmniej sześć miesięcy po uzyskaniu pomocy finansowej dla firmy na podstawie pakietu antykrzysowego.

"Przedsiębiorca może nie móc utrzymać zatrudnienia nie tylko wtedy, gdy firma ma trudności ze sprzedażą swoich wyrobów, ale także, gdy produkuje mniej towaru. Z powodu różnic kursowych, wartość sprzedaży takiej firmy może być nawet wyższa, ale ponieważ produkuje ilościowo mniej towarów, nie potrzebuje już tylu pracowników" - wyjaśniał Piławski.

Pracodawcy mają też wątpliwości do sposobu, w jaki - według pakietu - państwo ma pomagać w finansowaniu szkoleń i studiów pracowników. 20 proc. ich kosztów takiej nauki mają ponosić pracodawcy, a 80 proc. - refundować państwo. Ponieważ jednak będzie to refundacja, pracodawca najpierw musi za naukę pracownika zapłacić, a dopiero potem dostanie zwrot pieniędzy.

"W kryzysie, gdy pracodawcy liczą każdą złotówkę, istnieje niebezpieczeństwo, że niewielu z nich skorzysta z refundacji. Korzystniej byłoby, gdyby mogli dostawać pieniądze na szkolenia pracowników wtedy, gdy trzeba ponieść ten wydatek, a nie czekać na jego zwrot" - powiedział Piławski.

Pakiet antykrzysowy to zmiany, przede wszystkim w prawie pracy, które w połowie marca zaproponowali pracodawcy i pracownicy. Większość z nich ministerstwo pracy przełożyło na ustawy, które we wtorek przyjął rząd. Zmiany dotyczą m.in. zawierania umów na czas określony, elastycznego czasu pracy, dofinansowania dla firm, które znalazły się w kłopotach finansowych, dopłat do szkoleń pracowników i wypłacanych im stypendiów, zwolnienia z opodatkowania zapomóg wypłacanych z funduszy związków zawodowych. Rząd chce skierować projekt do Sejmu jak najszybciej, by mógł on wejść w życie jeszcze przed wakacjami. (PAP)

BONZOWIE I PARIASI

Ewa Wesołowska

Newsweek, 7.06.2009 15:26,

Z jednej strony są silni ludzie związków z państwowych firm, którzy groźbami strajków i w ulicznych burdach wymuszają pracę i płacę. Z drugiej – pracownicy traktowani jak śmieci przez prywatnych przedsiębiorców. Dwa bieguny tej panoramy określają stosunek Polaków do związków zawodowych.

Pracująca Polska jest podzielona. Na ludzi z państwowych spółek, którzy mają wieloletnie gwarancje pracy i płacy, ale i tak walczą o podwyżki, rzucając petardy i paląc opony. Na

pracowników dużych prywatnych firm, w których związki zawodowe są bardziej koncyliacyjne i godzą się dziś na obniżki płac, żeby ratować miejsca pracy. I wreszcie na ludzi zatrudnionych w małych i średnich firmach, których szefowie zachowują się czasem jak XIX-wieczni kapitaliści, poniewierając pracownikami i tępiąc próby działalności związkowej. Pazerni bonzowie związkowi z państwowych firm, którzy walczą o swoje na ulicach, budzą coraz większą niechęć. Jednak aż 65 proc. Polaków wciąż uważa, że organizacje broniące praw pracowniczych są potrzebne.

Rząd Donalda Tuska, pracodawcy i przywódcy największych central związkowych (NSZZ Solidarność i OPZZ) skończyli w ubiegłym tygodniu pracę nad częścią pakietu antykrzysowego, który ma pomóc firmom i pracownikom przeżyć recesję. Pakiet wprowadza m.in. elastyczny czas pracy i wsparcie finansowe z budżetu dla firm, by nie musiały zwalniać ludzi. Ale szefowie związków zawodowych w molochach, których jedynym lub głównym właścicielem jest skarb państwa, żyją w innym świecie – stałej walki o jak największe płace i przywileje. W maju związkowcy z KGHM zmusili prezesa Mirosława Krutina do wypłaty premii za 2008 rok. Walczyli o swoje jak z największym wrogiem. Leciały petardy i wyzwiska: „Złodziej, Putin-Krutin, wypierdalaj do Warszawy!”. Prezes przestraszył się, gdy rozwścieczony tłum wywalił bramę wjazdową. Każdemu z pracowników KGHM przyznał po 5 tys. zł premii, z czego 3,5 tys. zł już trafiło na konta załogi.

Ta chwila słabości będzie kosztowała spółkę 130 mln zł. Co prawda firma zarobiła w I kwartale tego roku 627 mln zł, ale to o 28 proc. mniej niż rok temu. A jeśli ceny miedzi spadną, a złoty się umocni, KGHM – jeden z najdroższych na świecie producentów – będzie musiał ciąć wydatki na inwestycje, które miały poprawić jego efektywność. Związkowców jednak mało obchodzi inwestycje. Odrzucili właśnie projekt strategii firmy, bo zakłada on zwolnienie w tym roku 350 osób i ograniczenie wydobycia.

Ekonomiści nie mają złudzeń: takie wydzieranie pieniędzy pazurami może w kryzysowym otoczeniu zachwiać finansami każdej firmy. – Rząd powinien zakazać zarządom spółek jakichkolwiek podwyżek. Nawet jeśli zastrajkują, nie ustępować – komentuje Bohdan Wyżnikiewicz z Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową. Minister skarbu Aleksander Grad nie ingeruje jednak w konflikty. Trudne decyzje zostawia prezesom spółek, działając zgodnie z zasadą, że to zarządy i rady nadzorcze podejmują decyzje, a nie skarb państwa. Tyle tylko że prezesi państwowych spółek mają związane ręce. Rządowi bowiem mniej zależy na zyskach i dywidendach, a bardziej na zachowaniu miejsc pracy i spokoju społecznym. – Związkowcy o tym wiedzą, dlatego śmiało występują o podwyżki i premie – mówi prof. Krzysztof Obłój z Akademii im. Leona Koźmińskiego.

Roszczenia związkowców z państwowych spółek, zwłaszcza tych najgłośniejszych wojujących o podwyżki, bulwersują już nawet zwykłych ludzi. „Zachowanie tych gnojów ze związków zawodowych jest przerażające – pisze na forum „Gazety Wyborczej” internauta „buraczek” poruszony sytuacją w KGHM. – Czy oni nie widzą, jakie czasy mamy, jak wielu ludzi traci pracę, godzi się na obniżki?! Powinni nadwyżkę przekazywać na inwestycje i rozwój firmy albo do budżetu państwa na pomoc dla małych firm, które mogłyby stworzyć miejsca pracy! A nie na przeżarcie dla pazernych związkowców!”. „Buraczek”, podobnie jak ponad połowa pracujących Polaków, przeciwny jest dziś strajkom wymuszającym podwyżki i premie. To duża zmiana. Dwa lata temu, gdy pielęgniarki odeszły od łóżek pacjentów, by walczyć o lepsze płace, utożsamiało się z nimi 67 proc. badanych przez CBOS Polaków.

Z badań CBOS wynika także, że dziś tylko co trzeci Polak uważa, że związki bronią interesów ludzi takich jak on. I specjalnie się do nich nie garna. Członkostwo w Solidarności deklaruje 2 proc. dorosłych Polaków (ok. 600 tys.), a

przynależność do OPZZ 1 proc. Nie wiadomo dokładnie, ilu członków ma najbardziej radykalny Sierpień '80, ale nie więcej niż kilkadziesiąt tysięcy. W sumie członków związków jest z pewnością mniej niż dwa miliony. Spadek społecznego poparcia m.in. załatwili górnicy, energetycy, hutnicy z KGHM, stoczniowcy z Gdańska. Ci, którzy weszli w politykę, a większość Polaków się od niej dystansuje, i ci, którzy myślą tylko o swoim interesie.

Niechęci społecznej trudno się dziwić, zważywszy na to, że wynagrodzenia strajkujących górników czy grożących protestami energetyków znacznie przewyższają średnią krajową. Przeciętna pensja w PGNiG wynosi 4,5 tys. zł (do tego dochodzą gwarancje pracy i płacy do 2017 r., 80 proc. niższy niż bony świąteczne). Podobnie w państwowej energetyce – też 10-letnie gwarancje i szybko rosnące płace grubo powyżej średniej krajowej przy rozdętym zatrudnieniu. W KGHM średnie wynagrodzenie wynosi już 7,9 tys. złotych, natomiast w Jastrzębskiej Spółce Węglowej (JSW) – 6 tys. zł. Wszędzie jest bogaty socjal, trzynastki, deputaty węglowe, specjalistyczna opieka medyczna, a pracownikom niektórych spółek, np. energetycznych, firma płaci na dodatkową emeryturę.

Szefowie związków zarabiają jeszcze więcej. Zdzisław Chętnicki, przewodniczący Związku Zawodowego Kadra w kopalni Pniówek, zarabia ok. 10 tys. zł, a mercedes, którym jeździ, w salonie kosztuje grubo ponad 100 tys. zł. Niektórzy bonzowie w górnictwie zarabiają 15 tys. zł. Z wyliczeń „Rzeczpospolitej” wynika, że koszt utrzymania związków zawodowych w państwowych spółkach wynosi 110 mln zł. Blisko połowa tej kwoty przypada na Kompanię Węglową, miedziowy KGHM i Jastrzębską Spółkę Węglową. Najwięcej płacą firmy, w których działa po kilka, czasem kilkanaście organizacji związkowych. Każdej trzeba zapewnić siedzibę i pokryć koszty funkcjonowania. A im więcej związków, tym więcej roszczeń i agresji. Działacze wyłażą bowiem ze skóry, żeby pokazać, że są lepsi i bardziej skuteczni od konkurencji.

W JSW działa 14 związków, a koszty utrzymania 60 etatowych działaczy wynoszą 16 milionów złotych rocznie. Pod koniec kwietnia zarząd firmy chciał zrestrukturizować spółkę, która w tym roku stanęła w obliczu klęski finansowej. Wprawdzie w ubiegłym roku miała 669 mln zł zysku netto, ale w pierwszym kwartale zaliczyła już kilkadziesiąt milionów złotych straty. To efekt gwałtownego spadku popytu na używany w hutach węgiel koksowniczy, a w ślad za tym coraz niższych cen węgla. Zarząd chciał zmienić strukturę organizacyjną, zmniejszyć koszty. W efekcie także liczba etatów związkowych zmniejszyłaby się z 60 do 40, a koszty spadłyby o 6 mln zł.

Na wieść o tym w firmie rozpętało się piekło. Szef NSZZ Solidarność Sławomir Kozłowski wezwał do zamurowania drzwi wejściowych do biurowca, żeby nie wpuścić zarządu. – Zanim zabiorą ludziom pieniądze i pracę, najpierw niech sami oddadzą 65 mln zł, które stracili na opcjach walutowych – mówi przewodniczący. Górnicy nie zgadzają się też na zamrożenie płac. Państwowy właściciel zostawił zarząd spółki na lodzie, polecając po spotkaniu ze związkowcami, by wstrzymał zmiany organizacyjne. I tak też się stało. Ponieważ równocześnie szybko rośnie import węgla energetycznego do elektrowni, z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że za pół roku problemy finansowe całego górnictwa węglowego zobaczymy na ulicach Warszawy.

Kiedy górnicy biją się o premie, w wielu prywatnych firmach toczy się walka o przestrzeganie elementarnych praw pracowniczych. Tam związki działają pod stałą presją niechętnych im właścicieli i zarządów. Powszechnie znany jest przypadek sieci dyskontów Biedronka, w których kierownicy fałszowali statystyki przepracowanych godzin, nie wypłacali należnych wynagrodzeń i zmuszali do prac transportowych ponad siły. Ostatnie raporty Komisji Krajowej NSZZ Solidarność, wysyłane do Międzynarodowej Konfederacji Związków

Zawodowych, przedstawiają kolejne szokujące przykłady. Na czarnej liście pracodawców znalazły się m.in. rzeszowski zakład Alima Gerber, gorzowska Faurecia, BZ WBK w Rudzie Śląskiej, Jutrzenka w Poznaniu, Miranda w Turku czy warszawski Lionbridge. Znowu mamy przykłady łamania praw pracowniczych w hipermarketach. W Realu w Czeladzi – jak donoszą autorzy raportu Komisji Krajowej – szefowie kazali nosić pracownikom ciężkie kartony. Ta, która powiedziała, że nie będzie taskać, i powołała się na kodeks pracy, usłyszała: „Wypierdalaj”. Terror był taki, że nawet kobieta z zaświadczeniem o niepełnosprawności brała szuflę i szła odśnieżać dach.

Znacznie częściej pracodawcy działają w białych rękawiczkach. Nie łamią prawa, ale uciekają się do paskudnych chwytów. W Tesco w Rzeszowie – relacjonuje ostatni raport Solidarności – szefowie zrobili wszystko, by pozbyć się najbardziej pyskatego działacza związkowego. Założyli kamerę, która przez cały dzień śledziła każdy jego krok. Wystarczyło, że na chwilę poszedł do innego działu porozmawiać z kolegą, i mieli pretekst do zwolnienia dyscyplinarnego. Bo opuścił swoje miejsce pracy.

Niektórzy pracodawcy w ogóle nie dopuszczają do powstania związków. W fabryce Faurecia Wałbrzych, gdy prezes dowiedział się, że zawiązała się u niego komórka Solidarności, natychmiast zwolnił założycieli. Ich zdjęcia wywieszono w portierni fabryki i nakazano, by ochrona nie wpuszczała związkowców na teren zakładu – opisuje wydarzenia najnowszy raport Komisji Krajowej. Identyfikacja było w fabryce Faurecii w Grójcu i Gorzowie Wielkopolskim. Tam wystarczyło, że związkowcy rozdali pracownikom ulotki informujące o założeniu organizacji (nie w godzinach pracy i nie na terenie zakładu). W lutym tego roku za próbę założenia związku drogo zapłacili pracownicy firmy przewozowej Schavemaker Transport w Kątach Wrocławskich – donosiły media. Gdy do organizacji zapisało się 60 pracowników ze 100-osobowej załogi, właściciel postanowił zwolnić ich pod byle pretekstem. W marcu dostało wymówienia 15 osób, na co załoga ogłosiła strajk. Ci, którzy akurat byli w bazie w Holandii, zamknęli się w samochodach. Właściciel firmy wezwał na pomoc „ochroniarzy”. Wybili szyby, wywlekli ludzi. Sprawa trafiła do polskiego sądu pracy, ale wyroku prędko nie będzie. Sądy rozstrzygają sporne kwestie miesiącami, a nawet latami.

Pracodawcom, którzy dziś traktują podwładnych i związkowców wedle wzorów z XIX wieku, sprzyja kryzysowa sytuacja na rynku pracy. Gdy koniunktura wróci, a bezrobocie zacznie spadać, w końcu zaczną przegrywać z tymi, dla których nowoczesne zarządzanie zasobami ludzkimi nie jest tylko lekcją z podręcznika managementu. Natomiast nie jest wcale pewne, jak – i czy w ogóle – będą ewoluować związki zawodowe. Zdaniem prof. Juliusza Gardawskiego, kierownika Katedry Socjologii Ekonomicznej w SGH, to jedno z najbardziej konserwatywnych struktur społeczno-ekonomicznych. Te w państwowych firmach przetrwały w niezmiennym kształcie, co może oznaczać klęskę i dla przedsiębiorstw, i dla jego pracowników. W PKP Cargo skuteczna obrona rozdętego zatrudnienia i podwyżki płac w ubiegłym roku doprowadziły do tego, że w tym trzeba zwolnić ok. 7 tys. z 35 tys. zatrudnionych. Otwarcie rynku pocztowego w 2013 roku może oznaczać koniec Poczty Polskiej, w której działa kilkadziesiąt związków – mimo bardzo słabych wyników ostatnio znów były tam podwyżki płac. Oczywiście, uniknięto by tego, gdyby państwowy właściciel wymagał od menedżerów zysków, jak w firmach prywatnych. Ale na to nie ma co liczyć, skoro takich wymagań nie stawia nawet teoretycznie najbardziej liberalny rząd od 10 lat.

W niektórych krajach Europy związki wyraźnie ewoluują w kierunku edukacji i szkoleń pracowników, by swobodnie poruszały się na elastycznym rynku zatrudnienia. W Polsce dobrze byłoby, gdyby doszło przynajmniej do takich zmian jak w Grupie Żywiec, która przejęła kilka największych browarów w Polsce, w Wedlu czy zakładach papierniczych w Świeciu. Na początku związkowcy

walczyli tam na noże, ale gdy zobaczyli, jak pracują ich koledzy z zagranicznych oddziałów, zmienili taktykę. Zauważyli, że od argumentów siłowych lepsze efekty dają merytoryczne. Zatrudnili więc finansistów, ekonomistów, prawników. – To zupełnie inny świat – mówi Jacek Męcina z Konfederacji Pracodawców Prywatnych Lewiatan. – Dobrze wykształceni, nastawieni nie na zwarcie, ale na osiągnięcie kompromisu. W Żywcu co miesiąc grupa przedstawicieli związków zawodowych z pięciu browarów spotyka się z zarządem i omawia sytuację w zakładzie, m.in. sprzedaż i finanse. Teraz, gdy dzieje się gorzej, związkowcy zrezygnowali z niektórych bonusów. Wiedzą, że gdy wrócą lepsze czasy, firma nie będzie skąpić.

Autorka tekstu 16 stycznia, aby zachować pracę, podpisała aneks do umowy, w którym zgodziła się na znaczne obniżenie zarobków i skrócenie okresu wypowiedzenia z trzech miesięcy do miesiąca. Pierwszego dnia obowiązywania nowych warunków została zwolniona. Obecnie jest bezrobotna

BEZ WIĘKSZYCH NIESPODZIANEK

Ewa Rosolak, Karol Jaskuła
Trybuna, 8.06.2009

PO, PiS, SLD-UP, PSL będą miały swoich europosłów

Platforma Obywatelska wygrała wybory do Parlamentu Europejskiego – wynika z pierwszych sondaży. Według badania przeprowadzonego dla telewizji TVN24: 24 mandaty przypadły Platformie, 16 PiS, 6 SLD-UP a 4 PSL. Według sondaży frekwencja wyniosła 27 – 27,4 proc.

Premier dziękuje Polakom

– Dziękuję wszystkim głosującym w wyborach. (...) Gratuluję wszystkim komitetom wyborczym. Szczególne gratulacje dla naszych przyjaciel z Polskiego Stronnictwa Ludowego – mówi premier Donald Tusk, podczas wieczoru wyborczego. Zdaniem premiera wyniki świadczą o tym, że rządowi „nie pokazano żółtej kartki, dostaliśmy kolejną kartę zaufania”. Tusk dodał: „to, że dzisiaj poparcie dla PO jest większe niż półtora roku temu, to jest naprawdę taki znak wzajemnego zrozumienia i zaufania, i też wyrozumiałości, za co bardzo serdecznie Polakom dziękuję”. Premier głęboko wierzy, że już od jutra „Polska będzie odgrywała jeszcze większą rolę w Europie”. Tusk apelował również do tych, którzy dzisiaj zdecydowali się zostać w domu, aby w przyszłości brali przykład z tych najbardziej aktywnych.

Kaczyński: nie jest źle

– Dziękuję wszystkim, którzy zagłosowali zgodnie ze swoim sumieniem – mówił prezes PiS Jarosław Kaczyński. Jak podkreślił frakcja konserwatywna walczyć będzie o to, aby Europa była zmodernizowana i nowoczesna. – Jeśli chodzi o nasz wynik, to powiem, że nie jest źle. Pięć lat temu zdobyliśmy ponad 12 proc. głosów, teraz jest to na pewno ponad dwa razy więcej. Oby ten trend się utrzymał – mówił Kaczyński

Dwucyfrowy wynik SLD-UP

– Liczę na dwucyfrowy wynik dla koalicji SLD-UP. To będzie dobry początek dla budowania alternatywy dla partii prawicowych, czyli PO i PiS – mówił po południu przewodniczący Sojuszu Lewicy Demokratycznej, Grzegorz Napieralski. Jak się okazało jego słowa były prorocze. Wedle sondażu przeprowadzonego przez TVN 24 lewica uzyskała 12 proc., co przekłada się na 6 mandatów, Polsat News prognozuje nawet 13,5 proc. i 7 mandatów. – Wynik pokazuje, że jest silna alternatywa wobec prawicy. Że wizja innej Europy jest możliwa –

przekonywał szef Sojuszu.

– Wykonaliśmy wielką pracę. I osiągnęliśmy dobry rezultat. Pokazuje on, że wokół SLD trzeba organizować polityczną lewicę, bo wynik ugrupowania naszych byłych, starszych kolegów Rosatiego i Borowskiego zamyka ten rozdział, który starali się oni utworzyć. Głosy oddane na Centrolewicę zostały stracone, nie przełożyły się bowiem na mandaty parlamentarne. Mam nadzieję, że wyniki uzyskane przez SLD w wyborach samorządowych i parlamentarnych będą zdecydowanie lepsze – powiedział „Trybunie” wicemarszałek Sejmu Jerzy Szmajdziński.

Na kogo głosowali?

Aleksander Kwaśniewski na Wojciecha Olejniczaka, tak jak obiecał mu to już przed kilkoma tygodniami. Grzegorz Napieralski – „na doświadczonego politycznie kandydata, który umie lobbować na rzecz regionu i kraju, oczywiście z listy nr 6”. Chodziło, oczywiście, o lidera listy w Szczecinie – Bogusława Liberadzkiego.

– Moim głosem chcę wzmocnić frakcję socjalistyczną w Parlamencie Europejskim, bo dominacja neoliberalnego modelu doprowadziła do załamania gospodarczego – mówił przewodniczący OPZZ Jan Guz, przypominając, że „wstępowaliśmy do Europy socjalnej, a teraz to się rozłazi”.

Prof. Władysław Bartoszewski, były minister spraw zagranicznych, powiedział PAP, że głosował zgodnie z głosem „własnego serca”. – Ważne jest tylko to, by głosować na kogoś, kto proponuje coś istotnego, a nie np. na hodowcę zwierząt futerkowych, bo to nic Polsce nie daje, ani regionowi, ani wyborcom – mówił.

Przypuszczamy, że Lech i Danuta Wałęsowie głosowali na syna Jarosława, który w ich okręgu wyborczym startował aż z 10 miejsca listy PO, ale prawdopodobnie mandat uzyskał.

Zachęcali

– Demokracja jest silna uczestnictwem; demokracja bez wyborców jest marna – mówił Aleksander Kwaśniewski. – Wybory do Parlamentu Europejskiego powinny zapewnić Polsce dobrą reprezentację w PE – ocenił. Dodał, że jest to początek długiego okresu wyborczego, bo już w przyszłym roku odbędą się wybory prezydenckie i samorządowe.

– Wyłoniony w niedzielę Parlament Europejski będzie decydował o przyszłości Polski i innych krajów; będzie ustalał m.in. kształt nowego budżetu UE – mówił kandydat na sekretarza generalnego Rady Europy, senator Włodzimierz Cimoszewicz. – Przez najbliższych kilkanaście lat to, w jakich warunkach będziemy żyli, funkcjonowali, w bardzo dużym stopniu będzie zależało od ludzi, których dzisiaj wybieramy – powiedział PAP.

– To są bardzo ważne wybory, tylko, że my jeszcze nie przedstawiliśmy się na interes europejski i kontynentalny, a tam będą zapadały najważniejsze decyzje – przekonywał Lech Wałęsa.

Także metropolita warszawski abp Kazimierz Nycz apelował, by Polacy nie lekceważyli głosowania w wyborach do Parlamentu Europejskiego, bo nie jest obojętne, kto zdobędzie mandat europarlamentarzysty. – Wybory to nie tylko obowiązek, ale i wielka szansa wpływu na przyszłość Europy – mówił kard. Stanisław Dziwisz.

W swoją skuteczność zważył chyba prezydent Lech Kaczyński. Pytany przez dziennikarzy, dlaczego Polacy powinni wziąć udział w wyborach do PE, prezydent odpowiedział, że mówił o tym zarówno w piątkowym wystąpieniu telewizyjnym, jak i „chyba w stu wystąpieniach w ciągu minionego półtora miesiąca i nic się nie zmieniło”.

Co dalej?

W chwili zamykania tego wydania „TRYBUNY” znane były szacunkowe wyniki wyborów europarlamentarnych. Ostateczne wyniki PKW poda prawdopodobnie dzisiaj wieczorem. Wtedy też

będziemy wiedzieć, którzy z kandydatów będą nas reprezentować w Brukseli.

– Wybory przebiegły spokojnie, nie odnotowano poważniejszych incydentów – ocenił po zakończeniu głosowania szef Państwowej Komisji Wyborczej Ferdynand Rymarz. Wskazał też na konieczność zmian w prawie, które umożliwią głosowanie przez internet, czy z pomocnikiem – dla niepełnosprawnych.

ZARADZIEC KRYZYSOWI

IAR/A.Rucińska/dabr

Gospodarka.Polskieradio.pl, 8.06.2009

Część pakietu antykryzysowego przyjętego w ubiegłym tygodniu przez rząd powinna wejść w życie jeszcze przed wakacjami.

Chodzi o rozwiązania dotyczące umów na czas określony, elastycznego czasu pracy oraz dofinansowania szkoleń przez pracowników. Wicepremier-minister gospodarki Waldemar Pawlak po posiedzeniu Komisji Trójstronnej zapewniał, że pracodawcy i związki zawodowe będą miały prawo pełnego udziału w pracach legislacyjnych. Waldemar Pawlak dodał, że trzeba jak najszybciej wypracować wspólne stanowisko, dlatego jeszcze przed przyszłotygodniowym posiedzeniem Sejmu i pierwszym czytaniem odbędą się posiedzenia zespołów eksperckich.

Minister pracy Jolanta Fedak mówi, że jeśli pakiet uda przyjąć się jeszcze przed wakacjami, to na koniec roku należy spodziewać się spadku bezrobocia. Zdaniem minister Fedak po wejściu w życie najważniejszych założeń pakietu, bezrobocie powinno spaść od 1,5 do 2 punktów procentowych. Przewodniczący OPZZ Jan Guz mówi, że związki będą upierały się przy podwyższeniu płacy minimalnej. Zdaniem Guza powinna ona wynosić 50 procent średniej płacy krajowej. Związkowcy chcieli wprowadzenia zmian w ciągu trzech lat, jednak ze względu na kryzys gotowi są ten okres wydłużyć do pięciu lat.

Projekt ustawy o łagodzeniu skutków kryzysu ekonomicznego przewiduje udzielenie pomocy pracownikom i przedsiębiorcom. Zaproponowane rozwiązania służą elastycznemu organizowaniu czasu pracy, dostosowanemu do bieżącej sytuacji przedsiębiorcy. Natomiast nowelizacja ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych oraz projekt ustawy o łagodzeniu skutków kryzysu ekonomicznego dla pracowników i przedsiębiorców zwalnia z podatku zapomogi wypłacane z funduszy związków zawodowych i socjalnego.

ZWIĄZKOWCY ZA ZMIANAMI W PROJEKCIE PAKIETU ANTYKRYZYSOWEGO

(PAP, dd/08.06.2009)

Onet.pl, 8.06.2009

Związki zawodowe wchodzące w skład Komisji Trójstronnej proponują, aby w projekcie pakietu antykryzysowego zmienić zapisy dot. m.in. elastycznego czasu pracy czy opodatkowania zapomóg dla pracowników. Chcą też jak najszybciej rozmawiać o wzroście wynagrodzeń.

Wicepremier Waldemar Pawlak zapewnił w poniedziałek

podczas posiedzenia Komisji Trójstronnej (KT), że "w trakcie prac parlamentarnych nad projektem pakietu związkowcy i pracodawcy będą mogli zgłaszać swoje propozycje bez przeszkód", ale nie wykluczył też możliwości "wypracowania poprawek wcześniej, w zespołach eksperckich KT". "Na 17 czerwca zaplanowaliśmy kolejne posiedzenie plenarne Komisji i wtedy jeszcze raz porozmawiamy o poprawkach do rządowych projektów" - poinformował.

W opinii przewodniczącego Solidarności Janusza Śniadka, rząd wpisuje do pakietu antykryzysowego głównie swoje pomysły, pomijając to, co wypracowali związkowcy i pracodawcy. Trzeba to zmienić jeszcze przed posiedzeniem Sejmu w sprawie pakietu - mówił w poniedziałek.

Pakiet antykryzysowy to zmiany przede wszystkim w prawie pracy, które w połowie marca zaproponowali pracodawcy i pracownicy. Większość z nich ministerstwo pracy przełożyło na ustawy, które 2 czerwca przyjął rząd. Zmiany dotyczą m.in. zawierania umów na czas określony, elastycznego czasu pracy, dofinansowania dla firm, które znalazły się w kłopotach finansowych, dopłat do szkoleń pracowników i wypłacanych im stypendiów. Rząd chce, aby pakiet mógł wejść w życie jeszcze przed sejmowymi wakacjami.

Zdaniem związków zawodowych, poza zmianami w prawie pracy, niezbędne są też prace nad sprawami socjalnymi, a szczególnie nad ustaleniem, w jakim terminie płaca minimalna może być podwyższona z obecnych 40 proc. do 50 proc. przeciętnego wynagrodzenia.

"Zgodziliśmy się, że regulacje dotyczące płacy minimalnej zostaną wypracowane w KT do końca roku, ale musimy o tym rozmawiać już teraz, bo jest integralną częścią pakietu antykryzysowego" - powiedział przewodniczący OPZZ Jan Guz.

Solidarność za niezbędne uznaje natomiast, zawarte w projekcie pakietu, rozwiązania dotyczące umów na czas określony.

"Jeśli zakaz nadmiernego wydłużania okresu, na jaki pracodawca może podpisać z pracownikiem umowę na czas określony nie będzie obowiązywał zawsze, lecz - tak jak przewiduje projekt pakietu - przez 2 lata, to nie zostaną wyeliminowane patologie. Umowy na czas określony nadal będą zawierane np. na 20 lat" - mówił ekspert Solidarności Henryk Nakonieczny.

Z kolei przewodniczący Forum Związków Zawodowych Wiesław Siewierski podkreślał, że "niezbędne jest zwolnienie z opodatkowania całej kwoty zapomóg wypłacanych pracownikom z funduszy związkowych, a nie, jak proponuje rząd, tylko do wysokości 680 zł".

Prezydent PKPP Lewiatan Henryka Bochniarz powiedziała PAP, że jej organizacja będzie proponowała obniżenie z 30 do 20 proc. wielkości spadku dochodów w firmie, umożliwiającego uzyskanie dofinansowania z Funduszu Pracy na utrzymanie miejsc pracy. "Spadek dochodów firmy o 30 proc. w zasadzie oznacza jej upadek" - argumentowała.

Adam Ambrozik z Konfederacji Pracodawców Polskich za pozytywne uznał wprowadzenie do projektu zasady, że wypłacane pracownikom przez pracodawców zapomogi będą finansowane z Funduszu Pracy, a nie refinansowane. "W ten sposób firma znajdująca się w kłopotach finansowych nie będzie musiała czekać na zwrot pieniędzy przez tygodnie czy miesiące" - wyjaśniał.

Jerzy Bartnik ze Związku Rzemiosła Polskiego wyraził zadowolenie, że z subsydiowania zatrudnienia będą mogli korzystać także przedsiębiorcy zatrudniający poniżej 20 osób. "W ten sposób z pakietu skorzystają małe firmy" - powiedział.

ZWIĄZKOWCY: PRAWO DO ZASIŁKU RODZINNEGO MOGĄ STRACIĆ TYSIĄCE RODZIN

PAP, 8.06.2009

Gazeta.pl, 8.06.2009, 18:05

Interia.pl, 9.06.2009, 6.09

Jeżeli nie zostaną podwyższone progi dochodowe, upoważniające do otrzymania zasiłku rodzinnego, to prawo do zasiłku stracą kolejne tysiące rodzin żyjących na progu ubóstwa - mówili związkowcy w poniedziałek na posiedzeniu Komisji Trójstronnej.

Stefan Kubowicz z NSZZ "Solidarność" przypomniał, że progi dochodowe, ustalone na potrzeby zasiłków rodzinnych, nie były podwyższone od 2004 r.

"W efekcie przez ostatnie pięć lat liczba rodzin pobierających zasiłki rodzinne spadła z 5,5 mln do 3,7 mln" - informował Kubowicz.

Inny ekspert "Solidarności" Zbigniew Kruszyński podkreślał, że "zamrożenie progów na kolejne trzy lata - jak proponuje rząd - oznacza, że rodziny wielodzietne, mające trójkę lub więcej dzieci, nie będą miały prawa do ubiegania się o zasiłek, dopóki ich dochody nie spadną poniżej poziomu egzystencji".

Jan Guz z OPZZ zauważył, że w Polsce zasiłek rodzinny jest o połowę niższy niż np. w Niemczech.

"Nie pozwala to wyrównywać różnic między młodym pokoleniem w Polsce i za granicą" - powiedział Guz.

Minister pracy **Jolanta Fedak** zaznaczyła, że "w sprawie progów ustalanych na potrzeby przyznawania zasiłków rodzinnych można jeszcze prowadzić negocjacje, ponieważ rząd nie podjął decyzji o ich zamrożeniu, a jedynie złożył taką propozycję".

"Ostateczna decyzja zapadnie 15 sierpnia. Do tego czasu w Komisji Trójstronnej możemy rozmawiać" - powiedziała Fedak.

Również wicepremier **Waldemar Pawlak** nie wykluczył możliwości podwyższenia progów dochodowych, jeżeli ich zamrożenie oznaczałoby, że zasiłki będą dostawać tylko rodziny żyjące poniżej minimum socjalnego. Ostateczną decyzję uzależnił jednak od wysokości przychodów budżetowych, które będą znane na przełomie czerwca i lipca.

Wicepremier zasugerował, aby do 15 czerwca związkowcy i pracodawcy z Komisji Trójstronnej przedstawili swoje propozycje w sprawie przepisów zmieniających kryteria przyznawania zasiłków rodzinnych.

PAKIET ANTYKRYZYSOWY WCIĄŻ NIEGOTOWY

TVN CNBC Biznes, bgr//kdj

TVN24, 8.06.2009

NIEZADOWOLENI I ZWIĄZKOWCY, I PRACODAWCY

Tuż przed wyborami rząd z pompą ogłosił przyjęcie pakietu antykryzysowego. Tymczasem do jego wejścia w życie wciąż długa droga, bo partnerom społecznym rządowe rozwiązania nie do końca się podobają. Na etapie prac parlamentarnych będą chcieli wprowadzić do pakietu liczne poprawki.

Pakiet antykryzysowy to zmiany przede wszystkim w prawie pracy, które w połowie marca zaproponowali pracodawcy i pracownicy. Większość z nich ministerstwo pracy pod kierownictwem Jolanty Fedak przełożyło na ustawy, które 2 czerwca przyjął rząd.

Zmiany dotyczą m.in. zawierania umów na czas określony,

elastycznego czasu pracy, dofinansowania dla firm, które znalazły się w kłopotach finansowych, dopłat do szkoleń pracowników i wypłacanych im stypendiów.

Rząd chce, aby pakiet mógł wejść w życie jeszcze przed sejmowymi wakacjami. Może to być jednak trudne, ponieważ szereg poprawek do rządowego projektu chcą wnieść pracodawcy i związki zawodowe. - Na 17 czerwca zaplanowaliśmy kolejne posiedzenie plenarne Komisji i wtedy jeszcze raz porozmawiamy o poprawkach do rządowych projektów - poinformował wicepremier Waldemar Pawlak.

Grad poprawek

A poprawek może być naprawdę sporo. W opinii przewodniczącego Solidarności Janusza Śniadka, rząd wpisał bowiem do pakietu antykryzysowego głównie swoje pomysły, pomijając to, co wypracowali związkowcy i pracodawcy. - Trzeba to zmienić jeszcze przed posiedzeniem Sejmu w sprawie pakietu - mówił w poniedziałek.

Zdaniem związków zawodowych, poza zmianami w prawie pracy, niezbędne są też prace nad sprawami socjalnymi, a szczególnie nad ustaleniem, w jakim terminie płaca minimalna może być podwyższona z obecnych 40 proc. do 50 proc. przeciętnego wynagrodzenia.

- Zgodziliśmy się, że regulacje dotyczące płacy minimalnej zostaną wypracowane w Komisji Trójstronnej do końca roku, ale musimy o tym rozmawiać już teraz, bo jest integralną częścią pakietu antykryzysowego - powiedział przewodniczący OPZZ Jan Guz.

NIE patologiom

"Solidarność" za niezbędne uznaje natomiast zawarte w projekcie pakietu rozwiązania, dotyczące umów na czas określony. - Jeśli zakaz nadmiernego wydłużania okresu, na jaki pracodawca może podpisać z pracownikiem umowę na czas określony nie będzie obowiązywał zawsze, lecz - tak jak przewiduje projekt pakietu - przez 2 lata, to nie zostaną wyeliminowane patologie. Umowy na czas określony nadal będą zawierane np. na 20 lat - mówił ekspert Solidarności Henryk Nakonieczny.

Z kolei przewodniczący Forum Związków Zawodowych Wiesław Siewierski podkreślał, że "niezbędne jest zwolnienie z opodatkowania całej kwoty zapomóg wypłacanych pracownikom z funduszy związkowych, a nie, jak proponuje rząd, tylko do wysokości 680 zł".

Pracodawcy też chcą zmian

Przedstawiciel pracodawców, prezydent PKPP Lewiatan Henryka Bochniarz powiedziała z kolei, że jej organizacja będzie proponowała obniżenie z 30 do 20 proc. wielkości spadku dochodów w firmie, umożliwiającego uzyskanie dofinansowania z Funduszu Pracy na utrzymanie miejsc pracy. - Spadek dochodów firmy o 30 proc. w zasadzie oznacza jej upadek - argumentowała.

Z kolei Adam Ambrozik z Konfederacji Pracodawców Polskich za pozytywne uznał wprowadzenie do projektu zasady, że wypłacane pracownikom przez pracodawców zapomogi będą finansowane z Funduszu Pracy, a nie refinansowane. - W ten sposób firma znajdująca się w kłopotach finansowych nie będzie musiała czekać na zwrot pieniędzy przez tygodnie czy miesiące - wyjaśniał.

MOTYLIŃSKI OCALIŁ GŁOWĘ

(dar)

Kurier Szczeciński, 8.06.2009

Wszystko wskazuje na to, że wiceprezes ZCh Police SA

Janusz Motyliński ocalił głowę. Związki zawodowe postanowiły wycofać swój wniosek o zwołanie referendum w sprawie jego odwołania. A dziś okaże się, kto zajmie dwa wolne miejsca w zarządzie spółki.

W ubiegłym tygodniu do Rady Nadzorczej Zakładów Chemicznych Police SA trafił wniosek o zwołanie referendum w sprawie odwołania kolejnego członka zarządu spółki Janusza Motylińskiego. Przygotowały go zakładowe organizacje związkowe. Motyliński został wybrany głosami załogi. Według związkowców, utracił jednak zaufanie pracowników firmy.

Okazuje się jednak, że do referendum nie dojdzie. Bo z tego pomysłu najpierw wycofała się zakładowa „Solidarność”, a wczoraj podobną decyzję podjął OPZZ i Związek Zawodowy Pracowników Ruchu Ciągłego.

- Zawiadomiliśmy już radę nadzorczą o naszej decyzji. Wpływ na nią miało m.in. porozumienie w sprawie optymalizacji kosztów, jakie w czwartek podpisaliśmy z zarządem spółki - tłumaczy Waldemar Badetek, przewodniczący ZZ Pracowników Ruchu Ciągłego.

Według związkowców fakt, że z porozumienia zniknęły zapisy o zwolnieniach grupowych spowodowany został poparciem pracowników - pod wnioskiem o referendum podpisało się 1050 osób. Poza tym w piątek wiceprezes Motyliński złożył samokrytykę.

- Na posiedzeniu zarządów organizacji związkowych uznał swoje błędy popełnione w ostatnich dwunastu miesiącach i zobowiązał się do bliższej współpracy z przedstawicielami załogi - stwierdzili związkowcy w specjalnym oświadczeniu.

A dzisiaj rada nadzorcza ZCh Police SA ma dokonać wyboru dwóch nowych członków zarządu - wiceprezesów ds. handlu oraz planowania i rozwoju. Na te stanowiska swoje oferty złożyło 16 chętnych.

SKŁADKI LEPIEJ OBSERWOWAĆ

Magdalena Januszewska
Rzeczpospolita, 9.06.2009

Pracownik nie straci na emeryturze z I filara, jeśli jego firma nie odprowadzi składek do ZUS. Ale może się to odbić na części, którą wypłaci OFE

Wraz z informacjami o kryzysie rosną obawy pracowników, co będzie, jeżeli firma przestanie odprowadzać za nich składki emerytalne. Zwłaszcza że kiedy szef zaczyna mieć kłopoty z wypłacaniem wynagrodzeń, zwykle oznacza to także, że nie reguluje zobowiązań wobec ZUS.

Liczy się każda złotówka

W nowym systemie podstawą obliczenia emerytury z I filara jest suma zwaloryzowanych kapitału początkowego i składek na ubezpieczenie emerytalne zewidencjonowanych na koncie ubezpieczonego do końca miesiąca poprzedzającego miesiąc, od którego przysługuje wypłata emerytury. Na koncie ubezpieczonego, który ma płatnika (czyli np. pracownika), ewidencjonuje się informacje o kwocie należnych (tzn. wykazanych w imiennych raportach miesięcznych przez płatnika) zwaloryzowanych składek na ubezpieczenie emerytalne.

- Nieopłacenie składek przez płatnika w obecnym stanie prawnym nie wpływa na wysokość świadczenia emerytalnego z I filara - wyjaśnia Przemysław Przybylski, rzecznik prasowy ZUS.

Nieco inaczej jest w wypadku środków na emeryturę z II filara. ZUS odprowadza część składki na ubezpieczenie emerytalne (7,3 proc. podstawy wymiaru) pochodzącą ze składki ubezpieczonego do otwartego funduszu emerytalnego. Jeżeli

płatnik nie wpłacił składek, to ZUS nie odprowadzi ich części na konto w OFE. A skoro tak, to środki te tam nie pracują. Jeżeli przekaże część składki z opóźnieniem - wraz z odsetkami - to mogą one zrekompensować straty wynikające z opóźnienia (w zależności od wysokości stopy zwrotu funduszu). A co jeśli wiadomo, że ZUS nie przekaże składek, bo należności z ich tytułu się przedawnią (zasadniczo po dziesięciu latach)? Wtedy zapisze na koncie ubezpieczonego w ZUS część składek dla OFE zwaloryzowaną od momentu, w którym były one należne. Tym samym zwiększą one podstawę wyliczenia emerytury z I filara.

Jak to sprawdzić

Eksperti podkreślają, że warto analizować coroczne informacje z ZUS i OFE na temat stanu swojego konta, a w razie wątpliwości - obserwować jego stan na bieżąco.

- Ubezpieczony na każde żądanie może otrzymać informację o stanie konta w OFE. Śledząc wpływ składek na swój rachunek oraz ich wysokość, może pilnować prawidłowości przekazywanych składek. Jeśli coś się nie zgadza, powinien sprawdzić w pierwszej kolejności, czy składka do OFE powinna być przekazana - mówi Beata Zduńczyk-Skup, rzecznik prasowy ING PTE SA.

Ubezpieczony, który stwierdzi (w ciągu trzech miesięcy od upływu terminu opłacenia składki), że płatnik nie wniósł należnych składek, może zwrócić się do ZUS o informację, czy podjął on działania zmierzające do ich ściągnięcia.

- Ustalenie stanu konta jest ważne zwłaszcza dla osób przed emeryturą. Czasem niezewidencjonowanie składek na koncie może wynikać z pomyłki, którą wystarczy szybko wyjaśnić - zauważa Wiesława Taranowska, wiceprzewodnicząca OPZZ.

Skutki dla pracodawcy

Nieopłacenie składek to poważne konsekwencje dla pracodawcy.

ZUS ma ustawowy obowiązek dochodzenia należności z tego tytułu. - Pracodawca musi płacić odsetki, a nawet jeśli uda się uzgodnić późniejszą spłatę, to uiści wysoką opłatę prolongacyjną (w wysokości połowy odsetek). Problemem są też skomplikowane i niejasne procedury - ocenia Małgorzata Rusewicz, ekspert PKPP Lewiatan. Jej zdaniem polscy pracodawcy mogą też spodziewać się konsekwencji innego rodzaju: znanych już w Europie Zachodniej i USA pozwów od byłych pracowników. Domagają się oni odszkodowań od firm, które nie dopełniły obowiązków ubezpieczeniowych, co spowodowało wydłużenie załatwiania spraw emerytalnych, a w konsekwencji także rozstrój zdrowia osoby starającej się o świadczenie.

Według danych ZUS zadłużenie z tytułu składek od płatników na koniec 2008 r. wynosiło 11 mld zł, a na 31 marca 2009 r. wzrosło do 11,7 mld zł.

RZĄD ROZBIJA SOLIDARNOŚĆ

Małgorzata Goss

Nasz Dziennik, 10.06.2009

Magazyn Obywatel, 12.06.2009

Związkowcy obawiają się, że scedowanie realizacji postulatów socjalnych pakietu antykryzysowego na komisje sejmowe nie przyniesie oczekiwanych zmian

Koalicyjny rząd PO - PSL wykorzystuje naturalne sprzeczności interesów pomiędzy pracodawcami i pracobiorcami, forsując jedną część pakietu antykryzysowego, a ignorując drugą. Tymczasem pakiet stanowi integralną całość i nie ma szans na solidarne

realizowanie go przez pracodawców i związkowców, jeżeli jednego z elementów zabraknie. Postawa rządu może przekreślić nadzieje na podpisanie pierwszego w Polsce "paktu społecznego".

Podczas poniedziałkowego posiedzenia Komisji Trójstronnej nie doszło do negocjacji w sprawie podniesienia progów dochodowych, uprawniających do świadczeń społecznych oraz rodzinnych, ponieważ przedstawiciele rządu nie mieli upoważnienia do modyfikacji rządowych propozycji.

Za weryfikacją kryteriów pomocy opowiadają się wszystkie organizacje związkowe zasiadające w Komisji Trójstronnej, tj. NSZZ "Solidarność", OPZZ i Forum Związków Zawodowych. Apel w tej sprawie wystosował także zespół ekspertów Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu Polski. Ostatnio do tego frontu dołączyło się Forum Kobiet Polskich oraz Forum Rodziców i Opiekunów Dzieci Niepełnosprawnych

- Razem możemy więcej. "Nie pozbawiajcie pomocy najuboższych dzieci..." - zaapelowało FKP w liście przesłanym do premiera Donalda Tuska.

- Rząd, za radą doradców public relations, na razie usztywnił stanowisko, aby operację podniesienia progów przeprowadzić w lipcu podczas nowelizacji budżetu. Dzięki temu zasługa przypadnie rządowi, a nie związkom zawodowym - twierdzą przedstawiciele strony społecznej. Ale to tylko spekulacje. Na razie wymowa faktów jest jednoznaczna - rząd jest gotów zrealizować te zapisy pakietu antykrzysowego, które pomogą pracodawcom utrzymać miejsca pracy, ale o innych jego punktach dotyczących pomocy najuboższym i rodzinom z dziećmi nie chce słyszeć.

- W budżecie na 2009 r. były przewidziane środki z rezerwy celowej na podniesienie progów uprawniających do pomocy społecznej, ale w związku z trudną sytuacją budżetową oraz blokadą 10 proc. środków w budżetach wojewodów najprawdopodobniej nie będzie możliwe sfinansowanie podwyżki progów w oparciu o kryteria proponowane przez Instytut Pracy i Spraw Socjalnych - taką odpowiedź usłyszała strona związkowa podczas poniedziałkowych rozmów w Komisji Trójstronnej.

- Z jednej strony środki budżetowe na pomoc społeczną są blokowane, z drugiej - rząd stworzył w budżecie "rezervę solidarności społecznej" w wysokości 1,140 mln zł pochodzącą z podniesienia akcyzy, przeznaczoną na "ważne kwestie społeczne, jakie może spowodować światowe spowolnienie gospodarcze, w tym na wsparcie rodzin wielodzietnych i osób w podeszłym wieku oraz dożywianie dzieci". Zabrać, aby z fanfarami oddać... Jaki to ma sens? - zastanawia się Zbigniew Kruszyński, przedstawiciel NSZZ "Solidarność" w Komisji Trójstronnej, ekspert zespołu budżetu, wynagrodzeń i świadczeń socjalnych.

Instytut Pracy i Spraw Socjalnych wyliczył, że próg uprawniający do pomocy społecznej powinien wzrosnąć z obecnych 351 zł miesięcznie do 395 zł miesięcznie na osobę w rodzinie (dla osób samotnych z 477 zł do 546 zł). Rząd tymczasem chce pozostawić kryteria bez zmian. Oznaczałoby to, że rodziny z dziećmi musiałyby spaść poniżej minimum egzystencji wyliczonego przez Instytut Pracy i Spraw Socjalnych, aby zyskać prawo ubiegania się o zasiłek z pomocy społecznej.

- W tych sprawach rząd liczy każdy grosz, a w ogóle nie mówi o kryterium dochodowym, gdy refunduje bankom z Funduszu Pracy spłatę za bezrobotnych kredytów hipotecznych - wytyka Kruszyński.

Opracowana przez rząd i prawie już uzgodniona w Komisji Trójstronnej specustawa zawierająca zmiany w prawie pracy realizuje tylko część zapisów pakietu antykrzysowego, przedstawionego w marcu przez organizacje pracodawców i związki zawodowe. Pozostałe punkty pakietu - dotyczące pomocy społecznej i zasiłków rodzinnych, pakietów socjalnych w zakładach pracy oraz uchylenia ustawy o tzw. neopopiuku na

rzecz negocjacyjnego systemu ustalania wynagrodzeń na poziomie zakładu pracy - praktycznie pozostają nieruszone. Co w tej sytuacji dalej z pakietem antykrzysowym? Czy zostanie on podpisany przez tych, którzy go uzgodnili, a więc związkowców i pracodawców?

- Pakiet antykrzysowy jest integralną całością, nie godzimy się na to, aby jedna jego część była realizowana, a druga zignorowana przez rząd - podkreśla Kruszyński. NSZZ "Solidarność" zapowiada wzmożenie nacisku na rząd, aby uwzględnił całość pakietu.

Co na to pracodawcy?

- Znaczenie pakietu antykrzysowego nie ogranicza się do działań antykrzysowych. To pierwsza od 20 lat szansa na podpisanie w Polsce "paktu społecznego". Z punktu widzenia dialogu społecznego jest to wielka wartość - mówi Henryk Michałowicz, ekspert Konfederacji Pracodawców Polskich. Pakiet jest mechanizmem złożonym z wielu elementów. Czy strony zechcą go poprzeć, jeżeli jednego z nich zabraknie? - Solidaryzm wymaga, abyśmy wypełnili treścią także tę jego część, która dotyczy spraw socjalnych - deklaruje Michałowicz. Na razie jednak nie ma w tej sprawie oficjalnego stanowiska żadnej z organizacji pracodawców. Związkowcy obawiają się, że scedowanie realizacji postulatów socjalnych pakietu na komisje sejmowe nie przyniesie oczekiwanych zmian.

NAJBEZPIECZNIEJSZY INTERES W OPOLU TO WYNAJEM KAMIENIC PUBLICZNYM INSTYTUCJOM

Marek Świercz

Nowa Trybuna Opolska, 12.06.2009

Dla prywatnych właścicieli to złoty biznes, bo urząd to przecież idealny najemca. Jest zawsze wypłacalny, dba o dzierżawione mienie, a i o stawki się za bardzo nie wyklóca. W końcu płaci podatek.

Chyba tylko Urząd Miasta Opola, który też ma zresztą różne departamenty rozsiane po całym mieście, nie korzysta z pomieszczeń w budynkach prywatnych. Choć nawet on miał pomysł, by oblegany przez kierowców wydział komunikacji ulokować w gmachu na Katowickiej, gdzie mieściła się Wyższa Szkoła im. Jańskiego.

- Zrezygnowaliśmy, bo stan techniczny budynku był gorszy, niż myśleliśmy - tłumaczy rzecznik prezydenta Opola Mirosław Pietrucha.

Inne ważne urzędy nie mają jednak wyjścia. Ziemskie starostwo powiatowe, które obejmuje swoim władaniem kilkanaście gmin wokół Opola, urzęduje dziś w pięciu różnych miejscach. Za wynajem cudzych lokali płaci ponad 300 tys. zł rocznie. W jeszcze gorszej lokalowo sytuacji jest Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego, który funkcjonuje dziś w dziewięciu obiektach. Opłaty czynszowe to 167 tys. złotych. Miesięcznie!

Winna reforma i Unia

Opole zawsze było miastem urzędników. Ale ostatnio mamy ich więcej niż kiedykolwiek. Bo Opole to, powiedzmy uczciwie, miasto wojewódzkie włócone w granice miasta powiatowego średniej wielkości.

Status stolicy województwa zobowiązuje, tymczasem funkcjonariusze przeróżnych ważnych urzędów nie mają się gdzie podziać. Tłoczno zaczęło się robić po reformie administracyjnej z 1998 roku, kiedy to pojawiły się kolejne urzędy:

marszałkowski i powiatowy. Musiano je upchnąć w dawnym gmachu rejencji opolskiej przy ul. Piastowskiej, gdzie wcześniej mieścił się tylko urząd wojewódzki. Nowe urzędy podzieliły się także nielicznymi innymi budynkami należącymi do Skarbu Państwa.

Przykładowo gmach przy placu Wolności (nad dawną "Europą") dzielą między siebie prezydent Opola, marszałek i starosta. Departamenty miejskie i marszałkowskie można też znaleźć w kamienicy przy ul. Żeromskiego, naprzeciwko galerii Solaris. Niezorientowany obywatel, który i tak z trudem odróżnia wojewodę od marszałka, może się w tym zatrzęsieniu departamentów pogubić. Bo niby czemu na parterze przyjmuje naczelnik od Zembaczyńskiego, a na trzecim piętrze dyrektor od Sebesty?

A będzie jeszcze gorzej, bo szybko rozrasta nam się samorząd województwa. Przede wszystkim z powodu unijnych wymagań co do liczby urzędników przypadających na każdy milion euro dotacji przyznanej nam przez Komisję Europejską.

Tych wszystkich, którzy odpowiadają dziś za podział unijnych pieniędzy z Regionalnego Programu Operacyjnego na lata 2007-2013, wyprowadzono już poza główną siedzibę urzędu marszałkowskiego (dodajmy: dzierżawioną od wojewody).

Od jakiegoś czasu Departament Programów Operacyjnych urzęduje w wynajętym za ponad 41 tys. zł miesięcznie prywatnym budynku na Ostrówku. Własny gmach dostało też Opolskie Centrum Rozwoju Gospodarki. Ale ponieważ to wydzielona jednostka - jak choćby Wojewódzkie Centrum Medyczne czy Centrum Terapii Nerwic w Mosznej - koszty OCRG nie są wliczane do kosztów funkcjonowania UM.

Wojewoda po kosztach

Co ciekawe, urzędy płacą też sobie nawzajem. I to właściwie za wszystko, włącznie z miejscami parkingowymi przed budynkiem. Weźmy plac przed urzędem wojewódzkim - tu każde miejsce przypisane jest konkretnemu urzędowi: KO to kuratorium oświaty, a SP to starostwo powiatowe. W roli wynajmującego występuje wojewoda opolski, który jest gospodarzem obiektu. Za miejsce na jego parkingu trzeba wybulić 160 zł netto miesięcznie.

Rzecznik wojewody Kordian Michalak zapewnia przy tym, że administracja rządowa z innych urzędów nie zdziera i liczy sobie po kosztach. I tak za metr kwadratowy biura starosta czy marszałek muszą zapłacić 19 zł miesięcznie. Ale, co ciekawe, wojewoda kasuje też na wynajem sal konferencyjnych.

I tak Herbowa kosztuje 90 zł za godzinę, a Osmańczyka - 60 zł. Niby nie tak drogo, ale trzeba doliczyć koszt usług dodatkowych: 15 zł za godzinę pracy rzemieślnika przy obsłudze narady, 50 zł za symultaniczne nagłośnienie konferencji (plus 15 zł za każdy mikrofon dodatkowy lub 20 zł za mikrofon bezprzewodowy). Gdyby organizatorowi zamarzył się podkład muzyczny z magnetofonu, musi wyłożyć 15 zł, za godzinę rzecz jasna.

Właśnie te ostatnie koszty codziennego funkcjonowania (dzień bez narady w stosownej sali jest przecież dniem straconym) skłoniły urząd marszałkowski do wybudowania sobie własnej sali konferencyjnej na Ostrówku. Była o to dzika awantura, bo gmina Kietrz, pominięta przy podziale pieniędzy z kontraktu wojewódzkiego, groziła secesją i przyłączeniem się do woj. śląskiego. Ale z perspektywy czasu widać, że inwestycja się opłaciła, bo ciągłe wynajmowanie sal od wojewody mogłoby poważnie odbić się na budżecie samorządu województwa.

Bo im więcej unijnych dotacji, tym więcej okazji do obradowania.

Ale marszałek, urzędujący kątem w gmachu wojewody, i tak nie ma lekko. Cały urząd marszałkowski to 9335 m kw. powierzchni użytkowej. I tylko 3019 m kw., czyli niespełna jedna trzecia, należy do samorządu województwa.

Resztę trzeba wynajmować od wojewody, osób prywatnych i Instytutu Śląskiego. Ten ostatni zarabia na tym, bagatela, 53,5

tys. zł miesięcznie.

Niech już będzie prywaciarz

Wśród instytucji publicznych urzędujących w gmachach prywatnych jest też Okręgowy Inspektorat Pracy w Opolu. Wcześniej, do 2003 roku, mieścił się w budynku OPZZ przy ul. Reymonta. - Przez lata staraliśmy się o pozyskanie nieruchomości znajdującej się w zasobach Skarbu Państwa. Bezskutecznie - mówi nto rzecznik prasowy OIP Łukasz Śmierciak.

- To prawda - komentuje Mirosław Pietrucha, rzecznik ratusza. - Takiej nieruchomości po prostu w Opolu nie mamy.

Ostatecznie inspekcja pracy zdecydowała się na dzierżawę części kamienicy przy ul. Piłsudskiego. Wynajmuje tam 1 272 m kw. powierzchni biurowej i 7 boksów garażowych, płacąc 55 tys. zł miesięcznie.

- Nowy budynek jest w lepszym stanie technicznym i jest bardziej funkcjonalny, co jest ważne dla komfortu pracy urzędników. Nie ma także barier architektonicznych, co jest szczególnie ważne dla petentów - mówi Śmierciak.

- Ale - dodaje rzecznik OIP - inspektorat nadal rozgląda się za siedzibą należącą do Skarbu Państwa.

- W związku z oszczędnościami poczynionymi z powodu kryzysu nie mamy możliwości, by kupić nieruchomość na rynku komercyjnym - tłumaczy.

Starosta popatrz na nas z góry?

Inną strategię rozważa starostwo powiatowe, któremu marzy się własny nowoczesny biurowiec. I to - uwaga! - liczący aż siedem pięter. Gdyby powstał, byłby prawdopodobnie najwyższym gmachem urzędowym w Opolu i starosta Henryk Lakwa mógłby spoglądać na innych notabli z góry, z wyżyn gabinetu na szczycie superbiurowca. - Ale mamy kryzys, więc temat jest na razie nieaktualny - mówi nto wicestarosta Krzysztof Wysdak. - Na razie mamy tylko koncepcję architektoniczną.

Wysdak urzęduje dziś na parterze urzędu wojewódzkiego, w gabinecie, który może przyprawić o klaustrofobię. Bo jest mniejszy od przeciętnego pokoju dzieciennego. Ma w sumie jakieś 12 m kw i gdy wicestarosta rozkłada ręce, to niemal może dotknąć ścian "gabinetu".

Wysdak przekonuje jednak, że w grę wchodzi tu nie tyle wygoda urzędników, co petentów, którzy muszą w tej chwili biegać od budynku do budynku. Ponieważ na pieczęcie starostwa jest adres sekretariatu na Piastowskiej, często zjawiają się właśnie tam, by dowiedzieć się, że ze swoją sprawą muszą jednak udać się do biur na placu Wolności albo na ul. Książąt Opolskich.

To właśnie z tyłu dwupiętrowej kamieniczki na Książąt miałby stanąć powiatowy superbiurowiec. Powiat dostał tam od miasta działeczkę przy ul. Haliny Poświatowskiej. Początkowo był spory problem, bo architekci twierdzili, że wolno tam stawiać tylko budynki czterokondygnacyjne, choć obok są 10-piętrowe wieżowce. Ostatecznie Rada Miasta Opola zaklepała jednak plan zagospodarowania przestrzennego zezwalający na wyższe budynki.

Nowy gmach starostwa jest wzorowany na gmachu rejencji - budynek stanąłby na filarach, dzięki czemu pod wysokim parterem można by zrobić parkingi dla petentów. Co więcej - już z myślą o pracownikach - zbudowano by też parking podziemny. Reprezentacyjna siedziba starosty ziemskiego liczyłaby sobie w sumie 2400 m kw. i mieściła biura dla 93 urzędników.

Rok temu, przed kryzysem, starosta Lakwa oceniał, że stan surowy kosztowałby mniej więcej 5 mln zł. Dziś, gdy firmy budowlane szukają zleceń, wyszłoby pewnie znacznie taniej. Ale z drugiej strony kryzys to nie jest dobry moment na to, by wydawać publiczne pieniądze na wypasione urzędy. Bo nawet jeśli są potrzebne, zaciskający pasa wyborcy mogą być innego zdania.

Na peryferie marsz!

Ostatnie lata pokazały czarno na białym, że Opole robi się za ciasne dla pączkującej administracji rządowej, samorządowej i wszelkiej innej. Bo rozrastały się praktycznie wszystkie możliwe instytucje. Opolska prokuratura jakoś sobie poradziła: rozbudowała się, wchodząc w głąb podwórza przy ul. Reymonta. Opolski sąd rozgościł się w dawnych "czerwonych koszarach" na skrzyżowaniu Plebiscytowej i Ozimskiej.

Ale takie zapasy lokalowe już się kończą. Utworzona jesienią 2008 roku Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska najprawdopodobniej wyprowadzi się aż na ul. Wrocławską, by urzędować w sąsiedztwie Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa.

Urzednicy raczej niechętnie opowiadają o swoich lokalowych problemach. Bo rzecz jest drażliwa, wyborcy nie lubią, gdy koszty utrzymania administracji są zbyt duże.

W Opolu, gdzie wciąż nie można znaleźć kapitalistów chętnych do zainwestowania na terenie specjalnej strefy ekonomicznej, to temat podwójnie delikatny. Bo jest coś niepokojącego w tym, że w stolicy naszego województwa najszybciej rozwijają się urzędy.

KONIEC KOALICJI SLD-PO W SEJMIKU?

Przemysław Jedlecki

Gazeta Wyborcza/Katowice, 12.06.2009

Związany z SLD dyrektor Wojewódzkiego Urzędu Pracy kilka tygodni temu powiedział marszałkowi, że odchodzi z pracy. Do dziś nie napisał jednak wypowiedzenia. PO chce go odwołać. - To będzie zerwanie koalicji - grozi SLD

W maju Przemysław Koperski, związany z SLD dyrektor WUP, zapowiedział, że odchodzi ze stanowiska. Od 1 lipca miał być kanclerzem Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej. Mówił, że chce dokończyć doktorat i że pragnie pomóc przekształcić uczelnię w uniwersytet. Problem w tym, że ta posada nie jest jeszcze pewna. Rektor uczelni prof. Ryszard Barcik nadal nie podjął decyzji, czy zatrudni Koperskiego. - Nie mogę brać odpowiedzialności za to, co ogłosił pan Koperski - mówi rektor, który w piątek o sprawie niechętnie rozmawiał.

W dodatku sam Koperski wciąż nie złożył pisemnego wypowiedzenia marszałkowi.

To irytuje liderów śląskiej PO. Dla nich odejście dyrektora byłoby świetną okazją na obsadzenie WUP kimś niezwiązanym z lewicą i mającym poparcie PO.

- Skoro dyrektor powiedział już, że odchodzi, to niech wreszcie odejdzie - utyskują działacze PO. Inny wysoki rangą członek zarządu śląskiej PO dodaje: - Jeśli do poniedziałku nie będzie rezygnacji, Koperski zostanie odwołany.

Ten tymczasem wyłączył telefon i wyjechał za granicę.

Ciężar rozmów z PO przejęli koledzy Koperskiego z SLD. Bronią swoich wpływów w WUP i nie chcą słyszeć o tym, żeby zastąpił go ktoś rekomendowany przez PO.

- To będzie oznaczać zerwanie koalicji w sejmiku. Przecież miała obowiązywać zasada, że zmiany na stanowiskach dyrektorskich wymagają uzgodnienia - mówi Zbyszek Zaborowski, lider regionalnego SLD. Nie chciał odpowiedzieć na pytanie, czy szef WUP powinien dotrzymać zapowiedzi i odejść z pracy.

Mimo to PO jest jednak zdecydowane na zmiany w WUP. - Nie powinien obowiązywać tam klucz partyjny. Rozmawiamy o tym z SLD - mówi Tomasz Tomczykiewicz, szef śląskiej PO.

Tymczasem Henryk Moskwa, radny lewicy i szef regionalnego

OPZZ, twierdzi, że w poniedziałek z powodu kłótni o to, kto ma być szefem WUP, może dojść do rozpadu koalicji z PO w sejmiku.

- Rano mamy jeszcze rozmowy z PO, ale zaraz potem jest posiedzenie Wojewódzkiej Rady Zatrudnienia, na którym ma się pojawić wniosek marszałka o odwołanie Koperskiego - mówi Moskwa.

Sojusz chce wycofania tego wniosku lub przesunięcia decyzji. Inaczej koalicja może przestać istnieć.

Zdaniem Moskwy SLD na wyjściu z koalicji niewiele straci.

- Dopóki była szansa na Euro 2012, to jeszcze warto było uczestniczyć w tym projekcie. Większych korzyści ze współpracy z PO jednak nie ma - dodaje. Podobnego zdania jest Zaborowski.

18.06.2009 R. LEWICA A ZWIĄZKI ZAWODOWE W POLSCE

Strona internetowa SLD, 12.06.2009

Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Warszawa w Europie wraz z Fundacją im. Róży Luksemburg zapraszają na konferencję - 18 czerwca, czwartek, g. 17.00., sala konferencyjna w siedzibie OPZZ II piętro (vis a vis windy) "Lewica a związki zawodowe w Polsce: Stracone złudzenia?

z udziałem:

- Ryszarda Zbrzyznego, posła na Sejm RP, przew. ZZ KGHM
- Jerzego Wiśniewskiego, prezesa Zarządu Okręgu Mazowieckiego ZNP
- Stanisława Nowakowskiego, red. naczelnego "Nowego Tygodnika Popularnego".

Moderator: Leszek Lachowiecki, red. naczelny "Forum Klubowego"

**Biuro Prasowe
Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych**

00-924 Warszawa, ul. M. Kopernika 36/40,

Tel.: 022 551-55-04, fax: 022 551-55-24, e-mail: ilka@opzz.org.pl